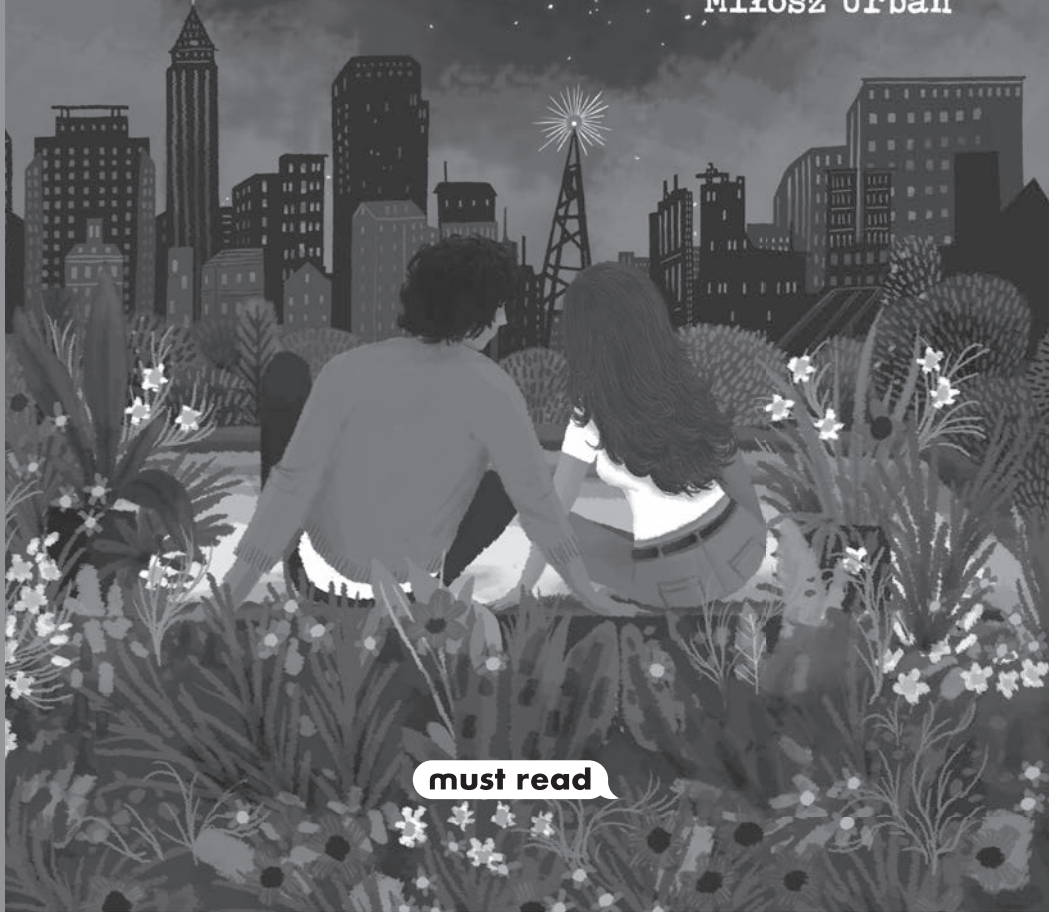


SZCZĘŚLIWE
POŁĄCZENIE

E M M A M I L L S

SZCZĘŚLIWE POŁĄCZENIE

tłumaczył
Miłosz Urban



must read

Tytuł oryginału *LUCKY CALLER*

Copyright © 2020 by Emma Mills

Copyright © 2023 for the Polish translation

by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki

Mallory Grigg

Adaptacja okładki, skład i łamanie

Radosław Stępnia  studio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-384-7

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 1,6
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.



Dla Hannah,
od Twojej Drobnej Przesady



ROZDZIAŁ

— 7 —

Były święta Bożego Narodzenia, a Dan akurat oświadczał się mamie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Cała nasza piątka spojrzała w stronę wejścia: ja, mama, Dan oraz moje siostry Rose i Sidney. Jak na komendę odwróciliśmy głowy, co musiało przypominać scenę z jednego z musicali nakręconych w złotej erze tego gatunku, do których oglądania byliśmy regularnie zmuszani przez Sid. Brakowało jeszcze, żebyśmy na „pięć, sześć, siedem, osiem” zaczęli stepować.

— Czy to...? — Kiedy popatrzyłam na mamę, miała nieco zaskoczony wyraz twarzy. Zaskoczony, ale szczęśliwy — mimo wszystko nadal wyglądała na szczerze uszczęśliwioną.

— Nie. — Dan zmarszczył brwi. Nie ruszył się z miejsca, w którym stał, pośrodku połączonego salonu i jadalni naszego mieszkania. Mama siedziała na jednym z krzeseł pod oknem, które przesunęliśmy tam, żeby zrobić miejsce na niewielką sztuczną choinkę. — To nie... ja.

Mama parsknęła śmiechem i szybko zasłoniła usta dłonią.

— Uhm...

Pukanie rozległo się ponownie, delikatne, ale zdecydowane.

— Czy mam... — Rose wstała z miejsca.

— Nina siedzi bliżej — zauważyła Sidney trzeźwo.

— Zgadza się. Nina, zechciałabyś? — Mama uśmiechnęła do Dana. Dan nie był zachwycony, ale i tak odpowiedział jej równie radosnym uśmiechem.

Wstałam i podeszłam do drzwi.

Aż do tej chwili żaden aspekt ich zaręczyn nie miał w sobie elementu zaskoczenia. Bo prawda była taka, że Dan — choć bardzo nieporadnie — kilka dni wcześniej zapytał mnie, Rose i Sidney o zgodę. Dziwnie poruszający gest, nawet jeśli pominąć założenie, że mama w jakiś sposób należy do nas i potrzebuje naszej zgody, żeby ponownie wyjść za mąż.

Jednak mama również w jakiś sposób poprosiła nas o zgodę, choć nie wprost, i zrobiła to, zanim Dan zdecydował się na rozmowę z nami. Poszliśmy razem na plac Lincolna, do restauracji serwującej śniadania, niedaleko budynku, w którym mieszkamy, żeby w ten sposób uczcić początek przerwy świątecznej. Mama kroїła naleśniki na coraz mniejsze kawałki, bawiła się chusteczkami i odwlekała ten moment jak mogła, jednak w końcu, niby mimochodem, oznajmiła:

— Tak się zastanawiamy z Danem... — O rany, udało wam się nawiązać łączność telepatyczną, że wiesz, co teraz robi? — zareagowała Rose, bo byliśmy tam przecież same, a poza tym każda z nas powiedziałaaby dokładnie to samo, tylko że ona jest najstarsza i często ma najlepszy refleks.

— Myślimy sobie z Danem... — powtórzyła mama z naciskiem i zawiesiła głos na końcu, żeby podkreślić, że jeszcze

nie padła najważniejsza część tego zdania — ...o przyszłości. Wspólnej. O przyszłości nas wszystkich razem. I rozważamy... rozmawiamy o... — Z dotychczasowych obserwacji wynikało, że im trudniejszy temat mama poruszała, tym rozważniej starała się wypowiadać. W tej chwili każde kolejne słowo skandowała jak osobne zdanie. — O. Pomyśle. Żebyśmy. Się. Pobrali.

— Pobrali? — Sidney oderwała wzrok od jajecznicy z papryką i bekonem i popatrzyła na mamę.

— Tak.

— W sensie, że w kościele?

— To akurat nie.

— Ale że biała sukienka, coś pożyczonego i siup, Dantysta jest naszym ojczymem?

— Dobrze wiesz, co uważam na temat tego przezwiska.

— Ale to nie jest złośliwe przezwisko! — zapewniła ją Rose. — To ułatwienie. Ma na imię Dan i jest dentystą. Jedno słowo zamiast dwóch, czysta oszczędność.

— Tylko czy Dana koniecznie ma definiować wykonywany zawód?

— To dlaczego jego zawód tak dobrze pasuje do jego imienia? — podsunęłam argument.

— Nino.

— Mamo.

Westchnęła. Wzięła do ręki widelec i nabiła na niego jeden z mikroskopijnych kawałeczków naleśnika. Leżący na stole telefon Rose zaczął wibrować, przestał i zawibrował ponownie. Dźwięk miała wyłączony. Siostra skończyła semestr

na pierwszym roku college'u tydzień wcześniej ode mnie i Sidney, i od kilku dni bez przerwy dostawała wiadomości od znajomych z dawnej szkoły średniej, którzy też wracali do miasta na przerwę świąteczną. Miała minę, jakby chciała sprawdzić, kto do niej napisał, ale nie sięgnęła po telefon. Sam fakt, że leżał na stole, rażąco naruszał zasady, ale mama była zbyt skupiona na innych sprawach, żeby zwrócić na to uwagę. Teraz przynajmniej wiedziałam, dlaczego.

— To co, jak się czujecie? — zapytała w końcu.

— Sennie? — odparła Sidney.

Mama wbiła wzrok w sufit.

— Jak się czujecie w temacie Dana i mnie razem?

— Aaa, o to ci chodziło... — Sidney klepnęła się w czoło i przesłała mi szeroki uśmiech. Miała trzynaście lat i była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, więc tak też ją traktowaliśmy, w związku z czym zbyt wiele uchodziło jej na sucho.

— Czujemy się... — Rose przerwała. Czasem potrafiła być opanowana jak nasza matka. — Okej. Prawda? — Spojrzała na mnie i Sidney. — Czujemy się okej? W temacie mamy i... — Mama otworzyła już usta, żeby ją poprawić. — Dana, którzy chcą zalegalizować swój związek?

Dantysta, czyli doktor Dan Hubler, licencjonowany dentysta, był dwanaście lat starszy od mamy. Ubierał się jedynie w kolorze khaki. Sam przygotowywał mleko migdałowe. A mamę spotkał nieco ponad rok wcześniej, w internecie.

Mama randkowała kilka razy od czasu rozvodu z naszym tatą — a rozstali się ponad dziesięć lat temu. Ta sytuacja była

jednak inna, bo nigdy wcześniej nie było to takie... rzeczowe, to chyba dobre słowo. Po raz pierwszy wyglądała, jakby niczym się nie przejmowała, ale w dobrym sensie, takim, że nie zachowywała się przy Danie inaczej niż przy nas. W jego obecności była po prostu w pełni sobą — śmiała się tak samo głośno jak tylko z nami, a czasami nie kryła rozdrażnienia.

Rose spojrzała znacząco, bo żadna z nas nie odpowiedziała na jej pytanie, więc Sidney potaknęła szybko.

— Pewnie, że okej — zapewniła, z buzią pełną jajecznicy i papryki. Ja dalej milczałam. Przepołowiłam kawałek naleśnika widelcem, a potem jeszcze raz. Chyba w naturalny sposób przejęłam zwyczaj mamy.

Prawda jest taka, że nie miałam pojęcia, jak się z tym wszystkim czułam. Wiedziałam, że mama będzie szczęśliwa. Wiedziałam też, że nawet lubię Dana. Ale wtedy, w restauracji przy placu Lincolna, wizja ich małżeństwa wydawała mi się kompletną abstrakcją, ba, później też, nawet kiedy Dan zadał nam to samo pytanie. Jakby to było coś hipotetycznego.

A teraz, proszę bardzo, środek wigilijnego wieczoru i my wszyscy razem. Mama „znalazła” puzderko, które Święty Mikołaj schował pod choinką, i byliśmy akurat w połowie procesu, który miał zmienić hipotetyczne pytanie w rzeczywistość, kiedy podeszłam do drzwi i otworzyłam je na całą szerokość, żeby sprawdzić, kto przez przypadek zakłócił najprawdziwsze oświadczyzny pod słońcem.

Okazało się, że to pani Russell, staruszka mieszkająca kilka pięter niżej. Zajmowała się nami po lekcjach, kiedy

byłyśmy młodsze. Jej wnuk, Jamie, który mieszkał z dziadkami, był z tego samego rocznika i chodziliśmy do tej samej szkoły.

Pani Russell trzymała w ramionach coś opakowanego w czerwony celofan, ze złotym łukiem na czubku. Uśmiechnęła się do mnie, a wokół jej oczu ukrytych za plastikowymi oprawkami w liliowym kolorze pojawiły się zmarszczki.

— Dobry wieczór, Nino! Wesołych Świąt!

— Dobry wieczór... — Nie powiedziałam na głos „pani Russell”, bo czułam, że dziwnie by to brzmiało. Jako dzieci zawsze zwracaliśmy się do niej „babciu”, tak samo jak Jamie. — Wesołych Świąt.

— Nasza mama się zaręcza! — obwieściła głośno Sidney.

— No proszę! — Pani Russell się uśmiechnęła. — Gratuluję!

— Na razie nie ma czego, bo jeszcze jej oficjalnie nie zapytał — dodała Sidney.

— Że co, proszę?

Mama poderwała się z miejsca i dołączyła do nas przy drzwiach. Za panią Russell pojawił się jej mąż, wsparty na ramieniu Jamiego.

Serce zabiło mi minimalnie szybciej.

— Eleanor, Paul, Jamie! Wesołych Świąt! — zawołała mama. Pani Russell otworzyła szeroko oczy, widząc pudełeczko w dłoniach mamy.

— Ojejku, strasznie mi przykro, że przeszkadzamy w takim momencie... — zaczęła, ale mama potrząsnęła zdecydowanie głową, a zza jej pleców odezwał się Dan:

— Zapraszamy do środka, to taka okazja, którą nawet przyjemniej świętować w gronie przyjaciół — powiedział, choć nie miałam pewności, czy kiedykolwiek wcześniej ich spotkał.

— Nie chcielibyśmy zawadzać... — zaczęła pani Russell, po czym nastąpiła seria zapewnień z naszej strony, przerywana serią wątpliwości z ich, po której zrobiliśmy miejsce i w końcu do nas dołączyli — babcia z miną pełną poczucia winy, jej mąż (dziadzio, pomyślałam odruchowo) oraz Jamie. Dan przywitał panią Russell, uściśnął dłonie z panem Russellem i z Jamiem, po czym zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc, proponując kawę, cydr, gorącą czekoladę albo szampana.

— Nie mamy... — zaczęła mama, ale Dan mrugnął do niej żartobliwie.

— Michelle — powiedział, kiedy wszyscy w końcu usiedli.

— Danielu — odparła mama.

— Jak... jak już wcześniej mówiłem...

— Tak — przerwała mu mama. — Oczywiście, że tak.

Pani Russell zaczęła klaskać, a my wszyscy do niej dołączyliśmy, bo mama podeszła do Dana i go pocałowała.

— Jamie, zrób zdjęcie — poleciła pani Russell, na co chłopak sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. — Na tle choinki! — dodała głośno. Odruchowo uświadomiłam sobie, jaką siłę miała delikatna perswazja w jej tonie. Przebrana w radosne życzenie, w rzeczywistości była wyrazem jej nieugiętej woli. — Obejmijcie się!

Jamie zrobił kilka zdjęć mamy i Dana, obejmujących się na tle choinki, a my przyglądaliśmy się temu, jakbyśmy byli

zespołem przygotowującym jakiś katalog świąteczny. Kiedy było po wszystkim, mama zabrała się do krojenia chleba z cukinii, który przyniosła sąsiadka, i przygotowała półmisek ze świątecznymi ciasteczkami. Dan i pan Russell zaczęli rozmawiać, ja i Rose zostałyśmy same na kanapie, na podłodze obok leżała Sidney i przeglądała jakąś książkę, a niedaleko stał zakłopotany Jamie i bawił się nieporadnie smartfonem.

Ze swojego miejsca mogłam zobaczyć fragment ekranu jego komórki. Przeglądał zdjęcia, które zrobił chwilę wcześniej; niemal identyczne ujęcia mojej mamy i Dana, przytulonych i uśmiechniętych. Pojawiło się też kilka zdjęć chyba ze świątecznego poranka, który Jamie spędził z babcią i dziadkiem. Zatrzymał się dłużej na fotografii przedstawiającej starszego pana z kilkoma błyszczącymi cekinami przyczepionymi do swetra.

Rose odkasznęła dyskretnie, by nie zwrócić uwagi Jamiego, ale z mojego siedemnastoletniego doświadczenia w byciu jej siostrą wnioskowałam, że chciała zwrócić moją. Zaraz potem, jakby na potwierdzenie, spojrzała na Jamiego i znów na mnie, po czym uniosła znacząco brwi.

Zamrugalam, udając, że nie rozumiem, o co jej chodzi, na co ona mi odmrugnęła, jakby chciała pokazać, że doskonale wie, co próbuję zrobić. Odwróciłam głowę, żeby nie widzieć frustracji wypisanej na jej twarzy, kiedy znów spojrzała w stronę Jamiego.

Jamie był słodki na swój nieporadny sposób. Miał brązowe oczy, które czasem w jednej chwili stawały się na tyle

poważne, że wywoływały w którejś z nas poczucie winy w związku z jakimś dziecięcym pomysłem, w który próbowaliśmy go wciągnąć, a kiedy indziej pojawiał się w nich błysk psoty, którym w jednej chwili przekonywał nas do jakiejś zabawy. Nigdy nie potrafił ukrywać emocji, które bezbłędnie odczytywałyśmy z jego twarzy — nazywałyśmy to Jamietronem, na wzór tego wielkiego ekranu Jumbotron, na którym wyświetla się wszystkie informacje w czasie meczów koszykówki.

Dziś znacznie trudniej było zgadnąć, o czym myśli. Miałam wrażenie, że jeszcze trochę urósł od czasu, gdy widziałam go ostatnio, mimo że sweter w białe i czerwone paski, który miał na sobie, był przynajmniej o trzy rozmiary za duży. Rękawy zasłaniały mu całe palce. Na dodatek na plecach, przy kołnierzu, widać było zwisającą metkę.

— Nowy sweter, James? — zapytała Rose, by przerwać ciszę. Przestała chyba liczyć na moje wsparcie.

Jamie oderwał wzrok od telefonu i spojrzał na nią zaskoczony.

— Uhm. Tak. Racja. Skąd wiedziałaś?

— Masz... no wiesz... — Rose wskazała palcem w stronę swojego kołnierzyka.

Jamie sięgnął do tyłu, trafił dłonią na metkę i momentalnie oblał się rumieńcem. To był ten Jamietron, którego znałyśmy. Szarpnął za nitkę, oderwał karteczkę, zmiażdżył ją i schował do kieszeni.

— Dostałem od babci... mam chyba... jeszcze trochę podrosnąć, żeby był w sam raz.

— Dała ci jeszcze trochę odpadów radioaktywnych? Bo to mogłoby przyspieszyć rośnięcie — zauważyła Sidney. Trąciłam ją stopą, ale Jamie zaśmiał się z dowcipu. Potem znów zapadła między nami cisza.

— Jak tam... leci? — zapytał w końcu, spoglądając na Rose. Ona zawsze była domyślnym partnerem do rozmów.

— Jakoś tam... leci — odpowiedziała moja siostra.

Przysunął się nieco bliżej naszej kanapy. Rzeczywiście wydawał się wyższy. I chyba nawet nieco szerszy. Czasem schodziłam z Rose do siłowni, potrenować na orbitrekach, ale nigdy go tam nie spotkałyśmy.

— Dalej pracujesz w Bajglach? — zapytała moja siostra z uśmiechem.

Chodziło jej o sklep w centrum handlowym przy Targecie, na obrzeżach miasta, wciśnięty między punkt UPS i sklep z odzieżą dla dzieci. Bajgle miały oczywiście swoją oficjalną nazwę — The Bagel Company czy coś podobnego — ale zapisany jaskrawo czerwonymi literami szyld nad wejściem głosił jedynie BAJGLE! Dlatego przywykliśmy do tej nazwy i tak mówiliśmy. Tylko akcentowaliśmy to specjalnie, zawsze z tym wykrzyknikiem na końcu, jakby tłumy miały wiwatować.

— Tak — potwierdził Jamie.

Sidney oderwała wzrok od lektury.

— Załatwisz nam darmowe bajgle?

— Zazwyczaj wszystkie się sprzedają, ale jeśli cokolwiek zostanie na koniec dnia, to mogę wam przynieść. Dobrze

by było, gdybyście lubiły pumpernikiel albo jalapeño, bo tylko to nie zawsze się sprzedaje.

Sidney zmarszczyła nos.

Jamie popatrzył znów na Rose.

— A jak tam na studiach? Podoba ci się póki co?

Moja siostra wzruszyła niejednoznacznie ramionami.

— Ostatnia klasa gimnazjum jest fajna? — zwrócił się do Sidney.

— Nikt nie lubi ostatniej klasy gimnazjum — odparła Sidney.

— W sumie racja. — Jamiemu zadrżał kącik ust.

— Może powiedz, co u ciebie? — zagadnęła go Rose. — Jeszcze tylko ostatni semestr i jesteście wolni. Masz jakieś plany? Coś fajnego na horyzoncie?

— Nic specjalnego. — Przez chwilę przestępował niezdecydowanie z nogi na nogę, po czym dodał: — Chociaż może jednak tak, bo zapisałem się na zajęcia z radia.

— No proszę! Fajnie, bo Nina też tam będzie!

Spojrzał na mnie.

— Serio?

— Serio — potwierdziłam. Zajęcia z prowadzenia audycji radiowych w Meridian North High School były adresowane jedynie do uczniów ostatnich klas i wszyscy twierdzili, że to jeden z najciekawszych kursów, jakie można było znaleźć na liście.

— Super. — Cisza. — Właśnie, pewnie będziesz w tym super. W sensie, że wiesz, twój tata i w ogóle...

Mój tata prowadził poranną audycję radiową w San Diego — *Conrad i spółka*, KPMR 100,2 FM, codziennie od szóstej do wpół do jedenastej rano.

— Tylko że wiesz, tego chyba nie dziedziczy się w genach... — Wzruszyłam ramionami.

Jamie pokiwał głową i się uśmiechnął.

— Też racja.

Cisza.

Do salonu weszła mama, niosąc wielki półmisek ciastek, na co Rose zerwała się z miejsca i podeszła jej pomóc ustawić go na stole.

— Sorry, że tak wyszło — odezwał się Jamie po chwili. — No wiesz, z tym przyjściem w środku... ważnego momentu. — Skrzywił się lekko. — Mówiłem babci, że nie powinniśmy wam przeszkadzać, ale... — Umilkł.

— Tylko wiesz, to nie było żadną niespodzianką. — Pokręciłam głową. — Znaczy wy tak. Zaskoczyliście nas. Ale o tym wszystkim... — machnęła ręką w stronę mamy — ...o tym wiedzieliśmy już od jakiegoś czasu.

— To dobrze — potaknął. — To naprawdę dobrze.

W jego towarzystwie chyba nie da się nie czuć nieswojo. Cały myk polega na tym, żeby spędzać z nim jak najmniej czasu. Dlatego kiedy Rose wróciła z ciasteczkami, wstałam i też ruszyłam się poczęstować. Jamie nie poszedł za mną.



Tamtej nocy leżałam wpatrzona w ciemne narożniki sufitu pokoju, który dzieliłam z Rose i Sidney. Miałam poczucie, że powinnam była bardziej się postarać podczas rozmowy z Jamiem. Mogłam go na przykład zapytać, czy planuje cokolwiek poza pracą w Bajglach albo czy wybrał już college. Czy w ogóle planował studiować po skończeniu szkoły średniej? Nie miałam pojęcia, a roztrząsanie przyczyn i zastanawianie się, dlaczego to smutne i niezrozumiałe, nie było wskazane o tak późnej porze.

W ogóle sam fakt, że w święta trzeba iść do łóżka, wzbudzał we mnie delikatny smutek. Na następne będzie trzeba czekać trzysta sześćdziesiąt cztery dni. A święta Bożego Narodzenia w Eastmanie, budynku, w którym mieszkaliśmy, to zdecydowanie mój ulubiony czas w roku. W lobby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę puszczano świąteczną muzykę, a z boku stała potężna choinka udekorowana złotymi i srebrnymi ozdobami, pod którą piętrzyły się paczki w złotym i srebrnym papierze. Białe gwiazdy betlejemskie stały wszędzie. Nasz apartamentowiec to historyczny budynek — ma ponad sto lat — i w Boże Narodzenie naprawdę czuć w nim świąteczną atmosferę.

Od lat tam mieszkaliśmy. Mam w głowie jakieś zatarte, dziecięce wspomnienia domu, który dzieliliśmy z tatą — parterowy budynek na wschodzie Indianapolis — jednak zdecydowaną większość życia spędziłam w dwupokojowym mieszkaniu w Eastmanie. Mama zajęła mniejszy z pokoi — ledwie starczyło w nim miejsca na łóżko i komódkę, a drugi przypadł naszej trójce. Większą powierzchnię zawdzięczał

wnęce w tylnej ścianie, za którą znajdował się szyb windy i pralnia. Pamiętam, że kiedy byliśmy małe, walczyłam z Rose o to miejsce — przegrałam, ale lepiej na tym wyszłam, bo moja siostra musiała nauczyć się spać mimo szumu pralki, suszarki (przez ścianę z tyłu) oraz dźwięków wydawanych przez windę (ściana z boku). Ilekroć rozsuwały się drzwi, rozlegał się dzwonek, a kiedy kabina wędrowała w górę i w dół jedenastopiętrowego Eastmana, niezależnie od pory dnia i nocy słyszać było szum jej mechanizmów.

Rozległ się cichy sygnał i usłyszałam szum rozsuwających się drzwi na naszym piętrze. Pewnie sąsiedzi wracali z przeciągającej się w noc Wigilii, może obładowani prezentami i jedzeniem, które zostało z kolacji.

Koniec końców, to były dobre święta. Drugie, które spędziliśmy z Dantystą. W zeszłym roku każda z nas dostała aparat polaroida ze wszystkimi dodatkami — kasetkami z papierem fotograficznym, albumem i zestawem do dekorowania zdjęć. Od tamtego czasu część powierzchni ścian została przeznaczona na fotografie — pierwsza z nich, bardzo niewyraźna, przedstawiała naszą piątkę, choć tylko twarz Sidney znalazła się na niej w całości, a pozostali musieli zadowolić się okiem czy fragmentem czoła.

Tak sobie myślę, że to nasze pierwsze zdjęcie rodzinne. Bo przecież mamy być rodziną, prawda?

W wakacje spędziłyśmy trochę czasu u taty i z tej wycieczki też mamy zdjęcia: plaża, dom taty, kolorowe desery lodowe. Sidney na tle tablicy informacyjnej w zoo. Tata

i Rose robiący głupie miny w trakcie przejażdżki na wynajętych rowerach.

Dzwonił do nas niedawno — oczywiście, że tak. Poza najważniejszymi świętami telefonuje zazwyczaj w niedzielę wieczorem. Zawsze rozmawiamy z nim po kolei, najpierw Sidney, potem ja, Rose i na koniec mama, choć ona akurat nie za każdym razem. Na święta wysłał nam pieniądze, bo „nigdy nie wiem, co wam kupić”, powiedział mi dzisiaj wieczorem. „Mam wrażenie, że za każdym razem zmieniacie zdanie, z czego byście się cieszyły. Po prostu nie nadążam. Czy w tym roku kosmetyki do makijażu byłyby dobrym prezentem? Czy w ogóle się nie malujecie? Może buty sportowe? Zielone są teraz modne?”.

— A czy zielone buty sportowe kiedykolwiek były modne?

— Czyli co, takich się nie nosi?

— Nie wiem, to byłoby mi w zasadzie obojętne.

— Powinniśmy zapytać Rose, ona jest artystką. — Rose później wyjaśniła, że wszystko zależy od odcienia, intensywności i nasycenia. To zbyt wiele zmiennych, żeby jednoznacznie ustalić, kto ma rację.

W tym roku Dantysta podarował każdej z nas biżuterię — a dokładniej biżuterię swojej matki. Starsza pani zmarła kilkanaście lat wcześniej, a Dan, jak nam wyjaśnił, nie potrafił się zdobyć, by sprzedać pamiątki po niej.

Dostałyśmy prawdziwe cacka. Rose łańcuszek z brylantowym wisiorkiem. Sidney kolczyki z perłami. A ja — delikatny złoty pierścionek z pięcioma niewielkimi opalami.

— Wiem, że mogą wyglądać trochę staroświecko — powiedział, jakby się usprawiedliwiał. — No, nie są może... najmodniejsze. Ale pomyślałem... że... no po prostu pomyślałem, że mogą się wam spodobać.

— To naprawdę bardzo miłe — odpowiedziała Rose. — Dziękuję!

— Dzięki — dołączyłam się, a zaraz po mnie Sidney. Odrzuciła włosy na plecy i z uśmiechem wskazała na kolczyk, który zdążyła założyć.

— Czy wyglądam bossssssko?

— Bardzo bosko — potwierdził Dan i też się uśmiechnął.

Tamtej nocy miałam na palcu podarowany pierścionek i leżąc w łóżku przesuwałam palcem po oprawionych kamkach. Odrobina światła wpadającego przez zasłonięte okno zamigotała refleksiem na złotej biżuterii.

Sidney musiała obserwować mnie ze swojego miejsca, bo odezwała się nagle:

— Prezenty od Dantysty są trochę jak z Królestwa. Jakby dał nam jakieś magiczne przedmioty. Klejnoty o wyjątkowych mocach. Moje kolczyki zapewniałyby niewidzialność.

Królestwo było naszą wspólną zabawą, wymyśloną, kiedy byliśmy młodsze. Rose i ja miałyśmy odpowiednio dwanaście i dziesięć lat, a Sidney sześć. Teraz już tylko ona wspominała czasem o Królestwie — pewnie jako najmłodsza miała najżywsze wspomnienia związane z naszą grą. Poświęcałyśmy na nią bardzo wiele czasu i dziś uznałybyśmy, że jest strasznie krindżowa, jak zresztą wiele dziecięcych zabaw opartych na wyobraźni.

— Mój klejnot miałby moc uciszania ludzi, kiedy ktoś chce spać — odezwała się Rose ze swojej strony pokoju.

— Wisiorek milczenia — podchwyciła Sidney i zaraz potem zapytała: — Nina, a twój klejnot? Jaką miałby moc?

— Pierścień ciszy.

— Nie liczy się, bo nie mogą mieć takich samych mocy.

— A ty nie możesz mieć kolczyków niewidzialności.

— Niby dlaczego?

— Bo jak by to miało działać? Masz dwa kolczyki i dwie zapinki do kolczyków. Moc działałaby tylko, gdybyś miała założone oba? A co by było, gdybyś założyła tylko jeden? Byłabyś tylko trochę niewidzialna? W połowie? A jak tak, to która połowa byłaby widzialna, a która nie? Od pasa w górę i od pasa w dół, czy raczej prawa i lewa strona? Poza tym to byłoby strasznie niewygodne. Co by było, gdybyś musiała stać się niewidzialna naprawdę szybko? Poprosiłabyś wroga, żeby poczekał, bo musisz założyć kolczyki? „Już, już, jeszcze tylko chwilka, ale dawno ich nie nosiłam i muszę przebić skórę, bo mi chyba dziurki w uszach zarosły...”.

— Dobra, niech ci będzie, to nie są kolczyki niewidzialności, tylko ochrona przed bzdurami. Dzięki nim byłabym odporna na głupie argumenty. A niewidzialność byłaby tylko fajnym skutkiem ubocznym.

— Przecież magiczne artefakty nie mają skutków ubocznych...

— Rose! — obraziła się Sidney.

— Wisiorek milczenia — odparowała Rose.

— Nie możesz go użyć, jak go nie masz na szyi! — mruk-
nęła Sidney. Potem przez jakiś czas panowała cisza, jakby
Sidney zasnęła. Ale tylko jakby, bo po jakimś czasie znów
rozległ się jej głos.

— Dlaczego już się nie bawimy z Jamiem?

— No właśnie, Nina, dlaczego? — zainteresowała się Rose.

— Pierścień ciszy — zareagowałam.

— Moce nie mogą się nakładać!

— O Boże...

Zapadła cisza. Może mój pierścionek rzeczywiście miał
magiczną moc.

— Nie czujecie się dziwnie? — Sidney znów pokonała
zakłęcie. — No wiecie, przez te całe... zaręczyny?

— Zdefiniuj dziwnie — poprosiłam, prawie równocześ-
nie z Rose, która postanowiła odpowiedzieć najmłodszej
siostrze.

— Masz prawo czuć się... — przerwała. — Masz prawo
się czuć. Jak tylko chcesz. Masz prawo się czuć, jak tylko
się czujesz.

— Wiem przecież. Ale chciałabym wiedzieć, co wy
czujecie.

Przełknęłam głośno ślinę. Rose milczała, więc ja odpow-
iedziałam.

— Kiedy usłyszałam pukanie do drzwi... nawet przez
ułamek sekundy nie miałyście głupiego wrażenia, że to
może być tata?

— Ale że jak, postanowił wpaść do nas i im przeszkodzić,
żeby się nie zaręczyli? — zapytała Rose.

— Nie mam pojęcia. — Wzruszyłam ramionami. — Mówiłam przecież, że to było głupie.

Żadna z nich nie zareagowała.

— Ja się cieszę, że mama jest szczęśliwa — wyznała Rose po jakimś czasie. — Ale tak, racja. To trochę dziwne. Pewnie teraz wiele rzeczy się zmieni.

— Jak?

— No przynajmniej to, że będziemy musiały się przeprowadzić.

Z wrażenia usiadłam na łóżku.

— Że co?!